Pudełko po cygarach

(2007, III nagroda)

– A cóż to? Pisklę? Zachciało nieborakowi wędrówek, zanim mama nauczyła latać? Czekaj, a żyjesz ty jeszcze? Wygląda, że tak – dozorca wielkim grubym palcem trącił ptaszka. – No, nie bój się, nie bój, wezmę cię do siebie i pomyślimy, jak ci pomóc. No cicho, cicho, przecież ci krzywdy nie zrobię – ostrożnie trzymając rudego ptaszka w przymkniętej dłoni pokuśtykał w stronę „dziupli" (nazywał tak składzik, w którym trzymał kosze na liście, skrzynkę na piasek, łopaty, grabie, wiadra i różne, nikomu niepotrzebne rupiecie). Patrzył na malca z niepokojem i od czasu do czasu chuchał na niego łagodnie.

„...Upuścisz mnie albo zgnieciesz. O, Ptaku, ależ mnie złapał, całkiem mi uszkodzi to bolące skrzydełko. Au! Ostrożnie, głuchy jesteś? I przestań tak na mnie dmuchać, uduszę się przecież. Fe, jak ty brzydko pachniesz.

Ludzie, zwyczajni ludzie, myślą, że my, ptaki, nie rozumiemy ich mowy. Może i jest w tym sporo racji? Może niektóre z nas rzeczywiście utraciły już tę zdolność, podobnie jak część ludzkiego plemienia dawno temu przestała rozumieć nasze trele, nasze szczebiotanie, świergot i świegot, gwizd, śpiew, terkotanie, ćwierkanie i cirykane, poświstywanie, kląskanie, jęczenie i buczenie, krakanie, gdakanie i gęganie, pianie, bulgotanie, plegotanie, lamentowanie, skrzeczenie, kląskanie, klekotanie i te wszystkie inne odgłosy, które mój ptasi ród sobie upodobał, a które są przecież czymś więcej niż tylko uroczymi dźwiękami i melodyjkami. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby się okazało, że tak jak przeciętny człowiek – ten mój nowy opiekun na przykład – nie rozumie tego, co usiłuję mu wykwilić (nie Tejrezjasz on przecie), tak i zwyczajna, przeciętna wrona, sójka czy kawka nie pojmie raczej, co też ludzie do siebie mówią. Ja rozumiem mowę ludzi, ale ja przecież jestem wyjątkowa.

Wyjątkowo wyjątkowa.

Co jakiś czas w naszym ptasim rodzie rodzi się nowa królowa. Niezbyt często, nasze królowe żyją długo, bardzo długo, wiele ptasich pokoleń. Nikt nie potrafi przewidzieć, w jakim miejscu i w jakiej rodzinie przyjdzie na świat takie pisklę, takie nadzwyczajne ptasie dziecko. Bywa, że królowa pochodzi ze wspaniałego rodu flamingów lub orłów, ale zdarza się i tak, że zwykła przepiórcza matka obdarza małą królewną wielkie ptasie królestwo. Skąd to wiem? Skąd wiem to wszystko? No właśnie... Wygląda na to, że jakimś sposobem pamięć o naszej przeszłości i historii całego świata przechodzi u nas z królowej na królową. Bo to ptak, *avis sapiens*, jest władcą wszelkiego stworzenia. Ptak, nie człowiek. Głupim ludziom wydaje się, że tylko ich kultura wykształciła rozum i świadomość. A to nieprawda. Nieprawda.

Gorsze… – aj, nie trząś mną tak, nie widzisz, jak cierpię? I nie przytrzymuj mnie tak mocno, czy ty zdajesz sobie sprawę, jak kruchą istotą jest takie pisklę? – ...gorsze jeszcze jest to ich przeświadczenie o absolutnej wyjątkowości ludzi – pochodzących przecież od zwykłych zjadaczy melonów. Więc ci *melonomani*, ci podli egoiści odmawiają 'dalszego ciągu' wszystkim żywym istotom, które nie pochodzą z ludzkiego rodu. Ich stworzyciel świata (przedstawiają go jako Boga-Ojca, a jakże!) – im tylko wyznaczył wyjątkową rolę i jedynie dla nich przygotował krainę wiecznej szczęśliwości; dla nas ledwie rezerwując miejsce pomocnicze. Wieczni pomocnicy! Zaczęło się od kruka i gołębicy, potem był Feniks, dalej te nieszczęsne panny-ptaszki – Filomena i Prokne. A ich najświętsza księga wręcz mówi: 'Wejrzyjcie na ptaki niebieskie, że nie sieją ani żną, ani zbierają do gumien, a Ojciec (ha, znowu) niebieski żywi je'. Widział kto takie głupstwa? Nie sieją i nie żną! A czy wszyscy muszą siać? I czy umiejętność siania i żęcia jest dowodem na cokolwiek?! A bo to mało mamy pracy przy zakładaniu gniazd? Albo przy szukaniu robaków dla naszych dzieci? Mało się trudzimy, co dzień rano witając śpiewem wschodzące słońce? Przecież bez nas tego dnia wcale by nie było… I kto ważniejszy?

Zdarzało się przecie, iż jakiś człowiek pojmował to i owo – na przykład taki Arystofanes, Grek, który chciał nam, ptakom, oddać władanie nad światem; ja tam jednak sądzę, że więcej w tym było kpiny z ludzkich poczynań niźli zrozumienia naszych, ptasich chęci i możliwości. Prawdziwy człowieczy charakter odsłonili przecież inni: durny właściciel ptaków, którym kazał wołać po świecie: 'Psafo jest bogiem, Psafo jest bogiem'; awanturnicy goniący ptaszka złotopiórego; pewien malarz rzucający w ptaka kamieniem; w końcu jeden gruby jegomość z tymi swoimi krwiożerczymi wronami. Widział kto większe głupstwo? Wrony-zabójcy! Prawda, i wśród nas zdarzają się wstrętne kreatury – sroki, jastrzębie albo sępy padlinożerne, ale przyznać trzeba, że one wykonują przy okazji trochę pożytecznej pracy.

Hm, skoro wiem i to, i tamto, skoro wiem to wszystko, czy nie jest aby tak, że to ja jestem nową ptasią królową?! Myślałam o tym tuż po urodzeniu. To wspaniałe. To dziwne, cudowne i niepojęte, ale czemu los tak paskudnie mnie teraz urządził i wyrzucił z gniazda rodziców? Taki pech! W ludzkich dziejach też tak bywało; wielki przywódca małego ludu przed wielu, wielu laty też zaczynał od niemowlęcego kołysania się w łódeczce z sitowia, zapomniany przez swoich i tego ich 'Stwórcę'…

I jak tu teraz być królową? A jeszcze ten kuternoga! Gorsze to niż jakaś krwiożercza bestia z kłami i pazurami. Oj, chyba jestem niesprawiedliwa, bo to chyba dobry człowiek. Inny pewnie zabiłby mnie od razu kamieniem albo po prostu przeszedł obojętnie, a ten nie dość, że podniósł mój majestat ostrożnie i obejrzał potłuczone skrzydełko, to jeszcze zaniósł do tej swojej dziupli. Ale coś tu ciemno i chłodno".

– Skrzydło chyba całe, masz dużo szczęścia. Czekaj ptaszku, jest tu małe ozdobne pudełko, które ktoś wyrzucił na śmietnik. Wziąłem, a nuż się na co przyda? Po cygarach, całe szmaragdowe, ma złote litery i złocony rysunek na wieczku. „Cuba-Havana-Superior" – będziesz miał zagraniczne łoże,

bidoczku. A możeś ty panna ptaszka? Cud, że cię kot nie zeżarł. Pudełko tytoniem już nie śmierdzi, bo tu rok z okładem leży, gdzież ono jest... O, tutaj, wytrzeć z kurzu ino trzeba. Włożę cię na razie bez kołderki, a za chwilę skoczę po troszkę suchej trawy i parę gałązek, to ci będzie wygodnie, jak w gniazdku u mamusi. Wypadłeś... wypadłaś – ty na pewno jesteś samiczka – bo się zanadto wierciłaś? Jezu, ale ty musisz być głodna! Wiercipięta i jeszcze głodomór. Co je taki mały ptaszek? Muszki, ale jak ja ci złapię muchę? A zjesz dżdżownicę? Widziałem na chodniku przed moją pakamerą parę dżdżownic, w nocy padało, to wyszły na spacer. I bardzo dobrze. Pokroję na drobniutkie kawałeczki, więc może co przełkniesz. A jutro kupimy mucholep i będzie wyżerka!

„Dość sympatyczny. Gdyby wiedział, że opiekuje się samą królową ptaków, byłby może jeszcze bardziej uprzejmy i elegancki. Ale i tak się stara. Brr, dżdżownica. Rodzice przynosili nam małe, ruchliwe smaczne muszki, które wsuwali nam prosto do dziobków. Nigdy nie jadłam tej jakiejś... dżdżownicy. Już na samą myśl o tym czymś robi mi się niedobrze. Muszę mu to jakoś przetłumaczyć, ale on widać nie z tych, którzy rozumieją mowę ptaków, bo przecież kwilę i kwilę, i nic. Trochę tu zimno i twardo, dobrze, że coś wspomniał o trawie. Ale gałęzie? Chyba nie myśli, że będę leżała na jakichś badylach. Co innego, jak mama z tatą, no, ci moi opiekunowie, przygotowali gniazdo – było miękko, ciepło i przytulnie i gałązki wcale mnie nie kłuły.

Tak czy owak sympatyczny. Tylko jakiś taki mały, zdaje się, że ludzie są raczej innego wzrostu. A ten jakiś taki pokraczny i nogi ma pałąkowate. Może ludzie zmienili się w czasie panowania poprzedniej królowej? A jeśli to inna rasa? Na przykład mysikrólik jest inny niż bocian albo marabut. Na ludzkiego króla mi ten *niskopienny* nie wygląda, szkoda – przyjemnie byłoby, gdyby usługiwał mi człowieczy władca. O, wraca”.

– Mam dwa zgrabne robaki i jeszcze znalazłem ci małą białą larwę. Nie będzie to zbyt ciężkostrawne dla takiego malca? Kupiłem też kartonik mleka – zaraz – gdzieś tu była wata albo lignina, będziesz piła mleczko z palca, księżniczko? Taka mała to już ty nie jesteś. Poczekaj, nie tak nerwowo, nie dziób mnie w palec, nerwusko; najpierw wymościmy ci łóżeczko – podłożymy trawkę i odrobinę ligniny. Gałązek nie brałem, boś ty chyba za delikatna na takie chabazie. A teraz pora na obiad: kropla mleczka i tłusty kawałeczek dżdżownicy. Wsuwasz aż miło, widać nieźle cię przegłodziło to leżenie pod drzewem. Ciekawe, kiedy spadłaś? Pewnie niedawno, bo cię jeszcze żywą znalazłem. Że też się nie zabiłaś, lecąc z tej wysokości. Może ciut podfrunęłaś, co? Kot was mógł zaatakować – ale nic nie widać przez tę gęstwinę, drabina by się przydała. Cóż, i tak cię do gniazda na powrót nie włożę, boby cię teraz zadziobali – już masz zapach człowieka, już ty moja jesteś – na dobre i na złe. No, teraz spać, a ja sobie zapalę. Dobrze, dobrze – stanę w drzwiach, żeby dym nie leciał. Widzisz, ja tu sam urzęduję, trzymam miotły, wiadra, łopatę, piasek. Inni dozorcy muszą się do mnie meldować po sprzęt. Ciekawe, coś ty za ptaszek, rudy gardziołek, jeszczem tu nie widział takiego cudaczka, przepraszam, cudaczki.

„No właśnie, nie zastanawiałam się do tej pory. Kim ja właściwie jestem? Tyle wiem, a tak mało o sobie. Wróblem chyba nie jestem, bo wróbel jest ciemnoszary, wrona odpada, sójka absolutnie też nie, gołąb tym bardziej; wszystkie te ptaki nie są przecież rude. Co tu jeszcze może latać, w tej krainie? Tata nie mówił, nie zdążył. Tyle wiem, a tego nie. To skandal! Na razie chwilkę się prześpię, może sprawa niedługo się wyjaśni. Muszę dużo spać, dużo jeść i szybko rosnąć. Obowiązki czekają. Ciekawe, jak będzie wyglądało przejęcie władzy. Zauważyłam, że zaglądał tu już taki stary siwy gołąb, może to mistrz ceremonii? Czy oni wszyscy oddadzą mi pokłon? Czy taki mały ptaszek jak ja nadaje się do takich poważnych zadań? Tylu tych moich krewniaków! Dzikie ptaki, niesforne i rozdyskutowane, latające i nieloty – ci to chyba najgorsi wiecownicy, ptaki lądowe, ptaki wodne, polarne, nadrzeczne, błotne, górskie, polne, miejskie, egzotyczne; a jeszcze ptaki w niewoli: ptaki na fermach – na usługach 'Pana świata' (trzeba im poprawić los, i to szybko), w klatkach, w wolierach, dalej gwiazdy śpiewające, próżni artyści, rozkapryszeni i rozleniwieni. A ptaki wypchane? Co z nimi? Ile tu szkód do naprawienia, ile problemów – oj, oj, pióra mi się stroszą, tyle tego".

– Zobacz, tylko po cichu, bo pewnie śpi. Przykryję ją kawałkiem wełenki, znalazłem w tej kupie przy wejściu. Taka kruszynka, niebożątko. Rudzik? A jesteś pewna? Skąd tu rudziki? Dziwne, czego szukają w mieście. Może za jedzeniem przyciągnęły? No i doigraly się – zgubiły dziecko. Prawda, że śliczna? Bo to samiczka. Skąd wiem? Wiem i tyle. To księżniczka, jak moja Elora Danan. Nie śmiej się, może to nawet jaka ptasia królewna? Wziąłbym ją do domu, ale stara zła od paru dni, że nie podchodź. Nienawidzę staruchy. Czemu los dał mi krótkie, krzywe nogi i na dodatek tę wiedźmę za matkę? Napijesz się kielicha? Już po czwartej, ci z administracji dawno poszli do domu. Mam tu zakamuflowaną flaszeczkę, to se trzaśniemy po jednym. Tylko po jednym! Muszę doglądać mojego rudzika. A czy to na pewno rudzik? Niby ma malutki krawacik, aleć to jeszcze pisklak, jak tu dobrze rozpoznać? Jak trochę podrośnie, to pójdę do biblioteki, tej młodzieżowej koło szkoły, poprzeglądam atlasy. No to do jutra, a zamykaj drzwi, jeszcze mi tu kota wpuścisz...

„Rudzik. R u d z i k – ładnie. Dostojnie. No, wrócił. Co on tam tak się guzdrze, głodna jestem. A już się bałam, że całkiem sobie poszedł. Nawet się do niego przyzwyczaiłam, tylko niechże się tak nie spoufala. Ostatecznie – ja jestem królewną, a on zwykłym posługaczem. Hm, kim on naprawdę jest? Nie za bogato tutaj. Czy on tu mieszka? Trochę straszno, nie tak jak w gniazdku u rodziców.

Ciekawe, czy wiedzieli, jakie jajko przyszło im wysiadywać. Zdaje się, że królewskie ludzkie dzieci też czasem rodziły się w ubogich domach u biednych ludzi. Cóż, trudny jest los szlachetnie urodzonych. Czy rudziki odtąd będą gatunkiem wybranym? To chyba pierwszy rudzik-król. Czy wszystkie ptaki czekały na moje przyjście, czy tylko rudziki? Mam nadzieję, że zostanę uznana przez wszystkich. Jeżeli pojawi się jakiś uzurpator, to nie dam sobie sama rady. Trzeba by wtedy poszukać wsparcia. A może ten mój sługa mi pomoże? Dobrze mu z oczu patrzy i przywiązał się już do mnie.

Czuje królewską krew. Mówi o mnie: ‘księżniczka’ – też ładnie, choć nie oddaje przecież dostatecznie mojego wysokiego stanu”.

– Obudziłaś się? Damy znowu mleka i zagrychę? O tak, ładnie. Powoli! Zdaje się, że młode ptaki są strasznymi łasuchami. Jak się postarasz, na Boże Ciało zaczniemy naukę latania. Już to sobie obmyśliłem. Najpierw tu u mnie w kanciapie, a potem na łące za szkołą. Muszę cię nauczyć łowić owady, bo inaczej zdechniesz z głodu, jak ci wpadnie do głowy mnie pożegnać. Bo przecież kiedyś mnie opuścisz? Właściwie to ja ci się nie przedstawiłem: jestem Bogdan. „Bogdan-kuternoga”, jak wołają dzieci, „Boguś-marynarz”, jak z czułością nazywa mnie Lucynka – to ta, co tu była. Sama jest na świecie jak ja, chłop jej umarł, to i zachodzi na jednego. Czasem zostanie dłużej, ale rzadko, bo musi opiekować się swoim ojcem, a dziadek już nie odróżnia dnia od nocy i trza co chwila do niego zaglądać. Do siebie jej nie zaproszę, bo ta moja jędza wrzeszczy: „Kurew mi tu sprowadzać nie będziesz! Wynocha gzić się w krzaki!”. Żeby tak zdechła, stara wiedźma. Właściwie to mi jej trochę żal; leży plackiem, trochę na telewizję patrzy i po całych dniach na siostrę zakonną czeka. Co to za życie? A koledzy mówią na mnie „Willow”. Bo ja taki sam, jak ten bohater filmu o małych ludzikach. „Willow” się nazywał – i film, i ten gość na krótkich nóżkach. Bo to cały ród taki był, wszyscy mali, karzełki-niedorostki, ale odważni i dobre serca mieli. Mam ten film na kasecie i często sobie go puszczam, jak matka śpi i nie ogląda tych bzdurnych seriali. Wiesz co, ptaszku, tak sobie czasami myślę, że może taki świat małych ludzi jest gdzie naprawdę? Jakbym tam trafił, to mógłbym być ich szeryfem. I nikt by nie wołał: „Pirat” albo „Pająk-pałąk”. W tym filmie Willow Ufgood, ten główny bohater (czyta się „afgut”, ale pisze: u, f, g, o, o, d) znajduje takie ludzkie niemowlę – Elorę, dziewczynkę-królewnę i pomaga jej odzyskać tron. Ile on niebezpieczeństw musi pokonać. Taki wielki rycerz, Madmartigan mu pomaga i jeszcze dwóch liliputów – śmieszne stworki. Ja też mam kumpla, chłopisko stare, ale krzepkie, Mateusz mu na imię, ale wołam na niego „Martigan” właśnie. Z wózkiem za makulaturą i innymi rzeczami jeździ, Słuchaj, rudziku, nazwę cię Elora, możeś ty też jaka królewna? Pokonamy złą czarownicę z Madmaritgana i dobrej wróżki pomocą, i będziemy żyli długo i szczęśliwie. Ty gdzieś na zamku, na drzewie w ładnym cienistym parku, gdzie pysznych owoców i owadów zatrzęsienie, a ja obok, przy tobie. To będzie na końcu świata. Dużym ludziom – poza Matim i Lucynką – nie będzie wolno tam się pokazywać.

„Wedle życzenia, mości Willow. Wedle życzenia”.

***

Manual

(2006, II nagroda)

… Cz. 3. Samochód

Wsiadanie. Więc tak: trzeba kliknąć pilotem, podjechać z lewej strony, otworzyć drzwi, przesunąć się trochę do przodu i pchnąć je, a potem, ostrożnie manewrując, stanąć wózkiem tuż przy progu, uważając cały czas, by nie porysować lakieru. Następnie należy złapać drzwi lewą ręką, przytrzymać je, a prawą chwycić kolumnę kierownicy.

Podciągam się teraz na rękach, przekręcając tułów w lewo, i opadam na siedzenie. Bezwładne nogi układam rękami pod kierownicą, przy bezużytecznych pedałach sprzęgła, gazu i hamulca. Przechylam się w lewo, odczepiam prawe koło wózka i kładę je, wyginając się do tyłu, za przednie siedzenie – sąsiada kierowcy. Przekręcam wózek, aby jego lewe koło znalazło się w moim zasięgu. Zwalniam lewe koło, przytrzymując wózek, by łagodnie osunął się na trotuar, a nie grzmotnął na ziemię. To koło stawiam za prawym, również za tylnym siedzeniem; mieszczą się oba bez problemu. Przechylam się następnie i dźwigam korpus wózka, już bez kół, który wygląda jak człowiek bez nóg lub jak kurczak u rzeźnika, czyli „korpus", w taniej wersji pozbawionej skrzydełek i udek. Przekładam więc wózkowy fotelik nad sobą, tak by nie uszkodzić kierownicy, nie zadrapać tablicy i żeby nie pobrudzić sobie kurtki, bluzki i spodni. Nigdy nie noszę spódnicy – moje chude nogi nie znają widoku słońca, tak jak nie znają dotyku męskich dłoni ani męskich pocałunków. Spódnica jest poza tym niepraktyczna. Układam teraz ten wózkowy korpus na siedzeniu obok i przypinam go, żeby się nie zsunął w czasie jazdy. Wózek nie jest na szczęście zbyt ciężki, więc te manipulacje nie sprawiają mi większych problemów. Zapinam swoje pasy, wychylam się głęboko w lewo (pas mnie trzyma, więc nie boję się wypaść), łapię otwarte drzwi i zamykam. Prawie koniec. Uruchamiam życiowe funkcje mojego kalekiego, specjalnego samochodu, wkładam panel radia i odpoczywam przez chwilę, słuchając muzyki – zwykle reggae albo piosenek francuskich.

Jeżeli obok mojego auta parkuje drugie i jest zbyt blisko, aby swobodnie stanąć wózkiem między moim samochodem a tamtym – muszę wszystkie czynności wykonywać od prawej strony. Niestety nie jest to proste lustrzane odbicie poprzednich operacji, ponieważ kierownica jest z lewej strony i tu, z prawej, nie ma czego się chwycić. Muszę zatem złapać wpółotwarte drzwi prawą ręką, a lewą oprzeć na przednim siedzeniu. Zdarzyło mi się raz upaść na ziemię, musiałam wtedy wciągnąć się do góry, co było dość trudne i wymagało ponownego przemyślenia kolejności poszczególnych etapów. Ręce na szczęście mam silne. Dalej jest już prosto: opadam na siedzenie, przechylam się w prawo, odkręcam lewe koło wózka i kładę je za siedzenie kierowcy. Przekręcam wózek, aby jego prawe koło znalazło się w moim zasięgu. Odkręcam lewe koło... Korpus wózka wrzucam za siebie, na tylną kanapę. Na końcu przeczołguję się na swój właściwy fotel i bezwładne nogi układam rękami pod kolumną

kierownicy (jw.). Czasem ktoś mi usiłuje pomóc. Nie lubię tego i na ogół radzę sobie sama. Jeżeli oba sąsiadujące auta stoją zbyt blisko – nie pozostaje mi nic innego, jak czekać. Wtedy ewentualnie godzę się na pomoc. Muszę wówczas złapać takiego kogoś za szyję i wsunąć się jak wąż do auta. Nie przepadam za zapachem tych szyi i nieogolonych twarzy. Następnie odbieram od pomocnika poszczególne elementy wózka i układam w samochodzie, według standardowego schematu. Raczej nie rozmawiam z kimś takim, bo i o czym? Jak już wspomniałam – nie przepadam za tym wariantem i staram się go unikać. Jeżeli wózka nie da się przecisnąć między autami – co umiem bezbłędnie i szybko ocenić – jadę na spacer lub oglądam sobie wystawy sklepowe.

Gorzej, gdy pada. A jeszcze gorzej, gdy pada śnieg i jest ślisko – wówczas wsiadanie wymaga ode mnie dodatkowego skupienia, chociaż podstawowe fazy czynności nie ulegają zmianie.

Wysiadanie, choć jest nieco trudniejsze, odbywa się w kolejności odwrotnej i nie wymaga odrębnego opisu.

Cz. 4…

***

Łyżka, widelec i nóż

(2005, I nagroda)

No i co się tak patrzysz? Nie widziałeś człowieka bez rąk? Taki się urodziłem, kurna jego mać – ręce zakończone tuż za łokciami, szczęście, że chociaż te łokcie są. A żebyś ty brachu widział, jak ja jeździłem na rowerze! Z góry od kościoła zjeżdżałem bez trzymanki, ze sto metrów prawie. No, kiedy mały byłem. Przyjezdne to mnie pokazywały palcami, a co to ja, cudak? Czy to cyrk jaki? A jak w nogę grałem! Masę miałem, to nikt mnie nie mógł ruszyć. Dwie, trzy kiwki i bania! Biegi i skoki też mi dobrze szły. Ale w siatę, w kosza, w pingla to ja nigdy. W bilarda za to umiem grać i już niejednego frajera opitolilem i stawiać mi musiał. Postawiłbyś i ty kielonka i piwo, już się nie bój, potrafię wypić i bez rąk. W domu to mam łyżkę i widelec z rzemykami, które wkładam na te moje popieprzone ręce, i nawet nóż, ale trudno żebym z czymś takim chodził do baru, nie?

Dobre to piwo, kiedyś „Żywiec" smakował jak siki i dużo ludzi przerzuciło się na „Tychy", ale nie ja. Ja jestem wierna gadzina, przetrzymałem, i teraz znowu jest gut, ale i tak już nie to, co kiedyś. „Góral" abo „Tańcujące" to było piwo... Nie gap się, kurna, na te moje ręce, bo się zeźlę. Uraz mam taki i już, tutaj wiedzą i uważają. Bronek od Matulków raz tak po gębie tymi moimi kikutami dostał, aż pod stół wpadł, o tamten, koło bufetu. Bo zamiast w kufel, to we mnie gały cały wieczór wlepiał i mędrkował, że taki niby biedny jestem. No to zobaczył, kto biedny.

Dwóch nas się urodziło jednego czasu – Mietek i ja; Mietek zdrowy jak ryba, a mnie te dłonie odjęło jeszcze w brzuchu u matki. Mietek jest spoko, pomaga mi całe życie, ale teraz pannę ma, to się pewnie niedługo wyprowadzi i sam zostanę. On teraz na granicy ruskiej siedzi, bo celnikiem jest, a celników niektórych stąd zabrali, od kiedy z tą Unią kombinują. Za rok zostawią tylko urząd w Bielsku i Mietek tylko dlatego, że się żenić będzie, dostanie posadę w tym oddziale. A kawalerowie przesrane mają, bo już w tych lasach koło Ruslandu na wieki zostaną. Co tam robić i gdzie babę znaleźć? Chyba że Ruską, ale prędzej na niedźwiedzia nadepniesz niż co trafisz; tak mówią, to jak nie wierzyć. Brat gada, że wszystko jedno – miszka czy ruska kobita. Mietek fajny chłopak, ręce ma i chudy jak tyczka, to się lalom podoba. A ja i połowy rąk nie mam, i jeszcze gruby jestem jak ta beczka piwa. Całe życie chce mi się jeść. Matce geranium raz wyżarłem – tak mi się żreć chciało, a stara wszystko przede mną zamknęła. To zjadłem jej tego kwiotka, a co... ze złości chyba. Lodówkę to na kłódkę przede mną zamykali, dobrze że mi Mietek swoje dawał abo ze sklepiku co przynosił.

Brandzlujesz się? No coś się tak wejrzał? Wszystkie tak robią, nawet nauczycielka od polskiego i historii, co jest od zeszłego roku, też to lubi. Mietek z Józkiem, tym naszym kuzynem, ją podglądali, to wiem. „Ach i ach" mówiła i rękami se to robiła. Mnie też chcieli potem wziąć, ale przeprowadziła się na piętro. Jak nie masz z kim... Ona dziwna jest i żaden chłopok stąd jej nie pasuje. To i ma, jak taka ważna. A ja się nawet tego porządnie robić nie mogę. Jak takimi kulasami...? Niby mam metodę, w końcu przecież człowiek nie małpa i sposób jakiś znajdzie, nie? Musiałem coś, kurna, wymyślić, bo dziewuchy przecie żadnej nie znajdę. Która by chciała za takiego *abfalla* iść i w dodatku jeszcze

grubasa? *Abfall* to po śląsku odpad, te hanysy, co do letniskowych domków za lasem przyjeżdżają, tak na mnie wołały. Dam ja im odpada – któregoś razu to im wszystkie młode drzewka powyrywałem. Ale to było dawno, teraz już złości nie mam. Co one winne, że ja taki? No, wypijmy zdrowie. Przyniesę jeszcze po pięćdziesiątce i jakie czipsy. Widziałeś te małą, co sprzedaje w bufecie? Niezła, co? Spyrka, właściciel „Świerka", co pół roku nową kobitę w bufecie stawia. Mówi, że leniwe, ale ja wiem, że one długo jego amorów nie wytrzymują i same odchodzą. Kazia mi mówiła – lała tu piwo dwa albo trzy lata temu – że to skurczybyk jakich mało. Co on jej... strach słuchać.

Ale dziewczynę to bym chciał mieć, wiesz koleś – jakże ci na imię, Grzesiek? – odchudzę się, nawet już czytałem o takiej diecie, co ino zupę kapuścianą żre się po całych dniach. Abo to mi zupa z kapusty niezwyczajna? Tylko że ja mięso okrutnie lubię, a najbardziej schabowego, jak go mama z kiszoną i przysmażonymi ziemniakami na stół daje. No, jakby tak do osiemdziesięciu, choć do dziewięćdziesięciu zjechać, to może by się jaka znalazła. Są takie, wiesz? One to z miłości do Pana naszego robią. Myśli se taka, że jak za mąż wyjdzie za takiego innego, to jej Bozia w niebie od razu miejsce na zapas zrobi. „Osobnik z wadą genetyczną" to po ichniemu, a „pojebaniec bez rąk" po naszemu. Może tatulo pijany był, jak se używał i akurat mnie coś zmaścił? No, wypijże koleś na raz, coś ty baba? A może kobitka na chałupę poleci? Sierota, co domu nigdy nie miała, to chciałaby być gospodynią, nie? A ja pół chałupy po ojcach mieć będę. Wierny jak ten pies jestem – mówiłem ci – co więcej potrzeba. I do kościoła chodzę, i na polityce się wyznaję, i czerwono-czarnych farbowańców nie lubię. Co więcej trza? Ino jej porządnie nie wymiętolę, bo jak?

Ojciec mi ten widelec i łyżkę zrobił – co to ci mówiłem – ale o protezie już nigdy nie było mowy. Stary OK jest, nie pije za dużo, nawet nie bił nas i matki, tylko głupi chłop z niego – jak sam nie zobaczy, to nie wymyśli. „A na co ci, Jasiu, protezy? Toć masz te, które ci wyrychtowałem". I taka z nim gadka. Widziałem w telewizji film o takim lekarzu, co go niewinnie na śmierć skazali, on im z pociągu uciekł i potem go po całej Ameryce ścigali. O: „Ścigany" właśnie. Indiana go grał. Był tam morderca bez ręki, ale protezę super miał, z palcami-kleszczami na końcu. Tą protezą on te babkę, żonę tego lekarza, raz-dwa zabił, ani pisnęła. Lepiej niż własną, kurna jego mać, lepiej niż rodzoną ręką. Fakt, potem go Indiana przydybał, ale przecie to Indy. Jakbym miał takie dwie protezy, to mógłbym normalne życie mieć, pracować, a nie na rencie durś siedzieć i domu tylko pilnować temu Italiańcowi. Bo ja se tak dorabiam. Chodzę z moim Kurtem – pies taki, owczarek prawdziwy, a ostry! – do tego domu, hen na górze, co prawie cały rok pusty stoi i Italiano boi się, żeby mu kto co nie ukradł, abo ty chałupy nie spalił. No to siedzimy tak od rana do wieczora i stróżujemy. Trzy stówki z tego mam, renty – pięć, i jakoś da się żyć. Gorzej, jak mamusia z ojcem pomrą, ale wtedy to może z Mieciulą i jego babą razem zamieszkamy. Bo ja to zgodny jestem, nie ze mną kłopotu. Fajna jest ta dziewczyna Miecia, ma długie włosy, do pasa, i pierogi ruskie umie robić, prawdziwe: z cebulą, serem i ziemniakami. Halinka jej na imię. Ładnie, nie?

Winylowe mówisz, bez klamer? Zalewasz... No widzisz, psiakrew – w Europie winylowe, a u nas z bukowego drzewa. Wypijmy lepiej po maluchu, bo mnie skręci z tych nerwów. No to... Ale ty coś,

Grzesiula, migasz się. Czyś ty policjant jaki? Urzędnik? Urzędniki przecie pić potrafią; tyle tych łapówek bierzeta, że w barku to pewnie każdy ma z dziesięć flaszek. Nie? Eee, zalewasz Grzesiu. Przyjeżdża tu taka jedna, chyba kasjerką jest albo inną znaczną osobą – ta jak w tango pójdzie, to jej mało który chłop dorówna. Ode mnie głowę silniejszą ma – to na pewno, a jak w bilarda gra! Okiem tak przymierza, zamyka je i otwiera – ki czort – a jak walnie, to od razu kula w dziurze. Inne letniki-Hanysy już nie takie ciekawe. Siedzą razem, osobno, po cichu piją, całkiem jak nie Niemce. Bo Hanys to prawie jak Niemiec, nie? Jest jeden taki, co wcale nie pije, no!, przychodzi tu z żoną albo córką, zamówią colę i lody, posiedzą, partyjkę zagrają. Znam go, bo ojciec razem ze starym Kurkiem więźbę mu robił, będzie już z dziesięć lat; ładny domek, nie powiem, fikuśny, ale nie taki, jak te nowe – z modrzewia, z gontami, co to je górale z Zakopanego stawiają. Z Zakopanego se do roboty biorą, jakby nasze gorsze były. A Kurek to chyba ze sto domów wyrychtował, i tu w Bańdówce, i w Malikach, i w Solance. Stary jest a krzepki, widziałem jak młodego Antka od Kubiców na rękę położył, a Antek to kawał chłopa. Ale ze mną by nie dał rady, gdybym ino miał porządne ręce; ja to silny jestem, na nogi to nikt mi rady nie da – raz jak któregoś ścisnąłem moimi kulasami, to ani dychał. To i w rękach też bym każdego jednego załatwił, nie?

Czekaj, bo mi coś do zęba wlazło, mało ich już mam, a to, co jest, dziurawe jak sito. Ale nie bolą. Ty wiesz, że mnie nigdy ząb nie bolał? Psują się i wypadają. I już. A Mietek, jak go napieprza ząb, to po ścianach chodzi i woła, żeby go zabić. Ta jego poprzednia dziewucha to go ciągnęła do dentystów, do miasta, ale czy to coś da, jak ci Pan Bóg co przeznaczył? Mnie łatkę przypiął i już miałem przesrane. I ani Matka Przenajświętsza, ani anioł stróż już nic nie mogli zrobić. Tak było zapisane od początku świata: „Janek Chowaniec bez rąk". Co, nie wierzysz mi? Pan Bóg tak postanowił, żebym ja za czyjeś grzechy cierpiał. Tak mi kiedyś ksiądz na spowiedzi odpustowej powiedział. To mu kazałem swoje ręce pokazać: „A księdzu jegomości co zapisał nasz Ojciec w niebie?". Tak to jest, jeden ma do przodu, a drugi do tyłu. Przesrane.

A wiesz Grzesiu – czekaj, zapalę i napiję się piwka, dobre, nie zanadto chrzczone, bo piana długo stoi; Spyrka wie, żeby mu gębę obili, jakby za bardzo kantował – wiesz, że ja to tani w utrzymaniu jestem? No bo tak: rękawiczek zimą nie noszę i koszule tylko z krótkimi rękawami, a przecież tańsze są niż z długimi i w mankietach się nie wycierają. Która to godzina? Dziesiąta? No to jeszcze po jednym i czas ku domu iść, jutro muszę ojcu przy chlewie pomóc, dziura się z tylu zrobiła i złodziej może w nocy wleźć. Niby jest Kurt, ale psa mogą otruć. Mam swój zegarek, japoński, na łańcuszku – w kieszeni noszę – ale tera nieporęcznie wyciągnąć. Ano – zegarek też nie tam, gdzie trzeba.

Ciekawe, jakby wyglądał świat, gdyby wszyscy ludzie rąk nie mieli. A może by nas w ogóle nie było? Ale przynajmniej rąk do modlitwy nadaremno by nie składali, pięściami innym nie wygrażali, z karabinów nie strzelali, palcem złośliwie nie kiwali, nie salutowali w tym głupim woju – czyli może lepiej by było, co? Ale i głupio by było, bo kto by na palcach gwizdał, baby macał, zajączki na ścianie pokazywał, pisanki malował, kciuki za naszych trzymał, choć ćwoki z Solanką ciągle przegrywają, i na skrzypcach abo harmonii grał? To może jest lepiej, tak jak teraz? Z drugiej strony kombinuję se,

żebymy co na to wymyślili; ludzie głupie nie są – skoro niektóre nogami malują, to może by i nogami na tych instrumentach grali? Organista w kościele przecie część melodii kulasami na pedałach wygrywa, no nie? Ty, a jakbym ja tak spróbował z tym malowaniem? To podobno duża kasa jest – jakieś Austriaki czy Niemce dają ci farby, pędzle i każą malować, a to kwiaty, a to góry, a to jakieś wzory. Co za sztuka taki wzór machnąć? Popytam się, może co w gminie wiedzą.

Patrz, Wronka przyszedł. Bogaty sukinsyn, w browarze robi. Dom nowy postawił, z prawdziwą dachówką, samochód co dwa lata zmienia – teraz francuskie ma, peugeota z kocimi ślepiami – w Rzymie był, a jego córka, Renia, to w Anglii już dwa roki siedzi, pono do szkoły chodzi. A jeszcze niedawno bez majtek po lesie latała... Czekaj, czekaj, wysiudają też i Wronę te Holendry z browaru, ino się lepiej rozejrzą i wszystko pochytają. Naszych powywalają, a swoich dadzą. U nich też krucho z robotą, to po co Polakom dawać zarobić, nie? Przesrane.

Czekaj, odlać się pójdę...

...Okidany ten klop, a do Unii chcą. Skwarek w ogóle o ten zajazd nie dba. Widziałeś te obrusy? Jak je pięć czy sześć lat temu położył, tak i do dziś leżą. Przepierze ino i dalej na stoły. A to dziura na dziurze. Jakby był drugi bar, to by się bardziej starał. A tak: m o n o p o l i nic nie poradzisz. Wypić gdzieś trzeba, chociaż koktajle po osiem ma, złodziej. I myśli, że chłop to na śmierdzącym stole wypije, że mu nie zależy gdzie i jak, ino dużo. Oj, dadzą mu popalić, jak tu z ty Brukseli przyjadą. Wstyd będzie, że o Jezu. Abo popatrz na te tapety: odrapane, a śmierdzą, jakby z obory je wyjęli.

Ale zaraz, zaraz, co ja chciałem... A, o ty naszy nauczycielce, ty co to... no wiesz. Zimą było, jakoś tuż po Bożym Narodzeniu. Poszedłem do szkoły po Ludwisię, córkę Józka, tego naszego kuzyna, bo do późna miała lekcje, a on w Żywcu na noc w robocie został. U nas w karnawale przebierańce po wsiach chodzą, nieraz całkiem pijane, to lepiej dziecka samego przez zaspy nie puszczać. Widziałeś ich kiedy? Cała kupa: śmierć, kościotrup, żołnierz, miś, ptak kolorowy, diabeł i jeszcze ze dwudziestu innych. Jak do chałupy wpadną, to aż strach – dopiero gorzałka ich uspokaja. Co ja... aha, siedzę se w korytarzu, aż tu ona wychodzi i zaczyna coś do mnie mówić. Przed oczami tak mi się jakoś ciemno zrobiło, słyszę, że mówi, ale nie wiem co, jej nie widzę. W końcu dotarło do mnie, że na herbatę mnie prosi: „Zaraz koniec lekcji, teraz dzieci czytają lekturę, więc może panu herbaty zrobić?”. „Panu”. Weszłem na górę, siadłem se, ona herbaty z rumem zrobiła, jakieś ciasteczka położyła i pyta mnie, kim jestem, co robię i takie tam inne. „A da pan radę z tą herbatą?”. „Mowa!”. Patrzę, mieszka ładnie, zielone kwiatki, książek wszędzie pełno – no, nauczycielka przecie, za to ji płacą, żeby czytała – radio, ino telewizora nie miała, może w kuchni? Opowiedziałem jej to i tamto, i taka mnie naraz odwaga zebrała, że nagle pytam się jej: „Pani nauczycielko, pani jest mądra kobita, książek dużo czyta – niech mi pani powie, dlaczego mam takie ręce. Za co? Ksiądz wikary mi raz powiedział, że to za grzechy, ale ja przecież w brzuchu u mamusi grzeczny byłem. Dlaczego ja, a inne nie? Dlaczego ja, a nie, na ten przykład, nasz Mietek, mój brat?” A ona na mnie jakoś tak popatrzyła – oczy to ma jak te dwa węgle – i odzywa się; z pamięci ci to, Grzesiu, mówię i coś przekręcić mogę: „Panie Janku, tego nikt nie rozumie, czemu jedni cierpią, a inni nie. Los („los”, Grzesiu, „los”) odebrał panu normalne ręce,

ale nie odebrał panu rozumu. Prawda, bez rąk nie byłoby cywili... cywilizacji ani kultury" – tak powiedziała: k u l t u r y; to akurat mam spisane na kartce, gdzie ona... o, jest. I dalej w ten deseń: „Bo jakby wyglądał świat bez: udręki, wyręki, zrękowin, poręki czy zaręczyn?. To wszystko od 'ręki' idzie. Ludzie zacierają ręce, bronią się rękami i nogami, popierają się i wtedy ręka rękę myje, świerzbi ich ręka abo nie chcą przyłożyć ręki do... sprawy, wszędzie szukają ręki bożej i ciągle im ręce... opadają. To nasze przysłowia. Ale, wie pan co, panie Janku, więcej od ręki rozum znaczy. Więcej też od 'rozumu' słów idzie". Tak to jakoś gadała, może trocha pokręciłem. Poszlimy na dół, bo się lekcja akurat skończyła. Ja tak se kombinuję, że może ona rację ma, bo ja wiem zresztą...

No, chodźmy, bo mnie jeszcze dobre dwa kilometry pod górę czekają. Pojutrze przyjeżdża do nas na letnisko kuzynka z Warszawy, muszę jeszcze pokój oporządzić. Niewiele ona lepsza niż ja, tyle że akurat z nogami coś ma.

A wiesz co, tak se myślę: może się i kiedy ożenię, no dobra, ale gdzie ja te ślubną obrączkę bede nosił? Na łańcuszku, jak zegarek?

***

Ryszard Lenc, 2005– 2007

Ta trzecia nagroda jest tak samo cenna dla mnie jak ta pierwsza.